

WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI

Królewna Prawda

Bajka żmudzka.

Wśród żytnich łąnów zbożowych,
I leśnych borów sosnowych,
Za rzek szerokich granicą,
Za puszczy odwiecznych ciemnicą,
Tam gdzie pieśń ptasząt brzmi rzewna, —
Żył królewna.

Na tronie z mchów i paproci,
Z uśmiechem wielkiej dobroci,
W koronie, zdobnej bursztynem,
Dzierżyła władzę nad gminem,
Rządziła berłem z koralu
Ludźmi w tej dali.

Na wieść o żmudzkiej dziewczyci,
Z dalekiej kraju dzielnicy
Zewsząd się tłumnie zbiegano;
Lecz usłyszawszy jej miano,
Nie jeden żalił się smutny
Na los okrutny.

„Natura zimna w niej, rybia,
A zwie się: *Tikra Tejsibia* ¹⁾,
A widzi do dna człowieka!
Wie, co zakrywa powieka,
Co w tajniach duszy złożono”...
Tak się skarżono!

Aż raz, znaleźli się śmiali
Trzej królewicze z oddali
I każdy stanął osobno
Przed tronem, z mową ozdobną.
Każdy rachuby miał pewne
Zdobyć królową!

Rankielis ¹⁾ z nad brzegów *Wenty* ²⁾,
Obiecał skarbiec zaklęty,
I ziemie zbożem słynące,
I monet srebrnych tysiące,
I złota olbrzymie stogi
Rzucić pod nogi.

Galwelis ³⁾ z *Dubisy* ⁴⁾ brzegu
W biegłych słów długim szeregu
Obiecał waleczne czyny,
Mądrości, sławy wawrzyny,
Potęgi i władzy morze
Oddać w pokorze.

Szyrdelis ⁵⁾ z brzegów *Ławeny* ⁶⁾
Na skarb ten nie znalazł ceny
I słów nie wybuchł potokiem!
Lecz rzekł z westchnieniem głębokiem:
„Daję ci siebie, weź moje
Serce za swoje!”

Królewna-prawda, wzruszona,
Rzekła: „Twa wola spełniona!
Bo ręka bywa bezsilna,
I głowa często jest mylna,
Lecz z prawdą — nigdy w rozterce,
Kto patrzy w serce!”

Ludwika Życka.

¹⁾ *Ranka* po żmudsku ręka — *rankielu* rączka.
²⁾ *Wenta* rzeka; przepływa powiat szawelski
inaczej Windawa.
³⁾ *Galwa* po żmudsku głowa — *galwela* główka.
⁴⁾ *Dubisa* rzeka; przepływa powiat rosieński.
⁵⁾ *Szyrdelis* znaczy po żmudsku *serduszko* (szy-
dis — serce).
⁶⁾ *Ławena* rzeka; przepływa powiat poniewiecki.

¹⁾ *Tikra Tejsibia* po żmudsku znaczy:
Szczerza prawda.

DAWNI NASI MALARZE.

III.

Tradycję polskiej szkoły wznowił poniekąd January Suchodolski. jakkolwiek był malarzem z przypadku, gdyż zawodem jego była żołnierka, i tylko okoliczności popchnęły go na drogę artystyczną. Urodzony na końcu zeszłego wieku, z rodziny oddawna osiadłej na roli, służył w wojsku od wczesnej młodości do 1831 roku i bił się dzielnie. Potem dopiero przyszło mu na myśl kształcić talent jaki posiadał, pojechał więc do Rzymu, ale nauka jego trwała stosunkowo krótko i powróciwszy do kraju oddał się malarstwu.

Jak wiemy, nie były to czasy dla artystów pomyślne, jednakże pan January, jak go powszechnie nazywano, miał szczęśliwą specyjalność, która zyskała mu względne powodzenie. Malował przeważnie konie, bitwy, utarczki, a ponieważ koń był ulubionym przedmiotem dla obywateli wiejskich, stanowiących wówczas najzamożniejszą część społeczeństwa, a Suchodolski malował szybko i nie drożył się ze swemi obrazkami, kupowano je chętnie, trochę dla talentu, trochę dla powszechnie lubianego artysty, bo był to człowiek zacny, szczerzy, gościnny, którego sama powierzchowność żołnierska, jednała serca, to też nie było zamożniejszego domu na wsi, w którymby się nie było na ścianie, jakiego jeźdźca na koniu z rozdeptanymi chrapami, jego pendzla.

Większe obrazy Suchodolskiego, mniej mają wartości, bo nie oglądał się na naturę, a jeżeli malował jaką bitwę, nie przyszło mu na myśl obejrzeć miejscowość. Prawda, że nikt tego nie wymagał, że podróże były uciążliwe i drogie a malarz nie mógł czynić takich nakładów, bo obrazy bardzo tanio kupowano. Suchodolski malował przeważnie bitwy z naszych dziejów, malował je po szkolarsku, nie zadając sobie zbytniego trudu co do szczegółów historycznych, ale już przez to samo, przeważną rolę w jego obrazach grały konie, był popularnym. Na wystawie obecnej znajduje się jego zwycięże wawozu pod Somosierą, dokonano przez oddział polski w Hiszpanii za wojen napoleońskich pod dowództwem Kozieltulskiego.

Po nim wielkie zasługi w historii naszej sztuki położył Aleksander Lesser, urodzony w trzecim dziesiątku obecnego wieku. Poświęcił się on sztuce nie z potrzeby ale z zamiłowania i traktował ją z największym poszanowaniem. Zamożny i swobodny, oddał się jej cały, pracował z sumiennnością niezmierną, której mówiąc szczerze, dotąd od artystów nie wymagano.

Głęboko i wszechstronnie wykształcony, Lesser zrozumiał dobrze, jakie być powinno zadanie artysty, zrozumiał, że sztuki nie można odosabniać od innych nauk, że łączy się ona z historią i z archeologią, ażeby, malując obraz z dawnych czasów, wiernie odtworzyć ubiory, sprzęty, uzbrojenia przedstawionej epoki i narodu.

O tych rzeczach dawniej artyści nie myśleli, bo wielcy mistrze odrodzenia przedstawiali bez ceremonii osoby z historii świętej w strojach sobie współczesnych. Paweł z Weroni np. malując gody w Kanie galilejskiej przebrał wszystkich jej uczestników za panów i panie weneckie. Pomimo to Gody w Kanie należą do arcydzieł sztuki. Tak w ogóle wówczas robili wszyscy artyści, troszczyli się o dobry rysunek, o prawdę w kolorze i wyrazie ale nie o tę historyczną prawdę, której dopiero wiek nasz zaczął poszukiwać.

Pierwszy też Lesser z naszych artystów kształcił się w Monachium, które wówczas, mając znakomitych mistrzów, stało się jednym z najbardziej ożywionych środowisk sztuki. Lesser wyniósł ze szkoły monachijskiej niezmierną sumiennność a w głębi własnego serca, miał gorącą miłość dla wszystkiego co swojskie. Malował też przeważnie obrazy z historii polskiej, oddając z archeologiczną wiernością stroje i uzbrojenia. A nie było to wcale rzeczą łatwą w jego czasach,

mało mieliśmy wówczas dzieł pomocniczych. Trzeba więc było samemu wyszukiwać każdego szczegółu. Lesser się tego nie uląkł, przeciwnie, trudności podniecały jego zapal do pracy. Między innemi malował małego Bolesława Krzywoustego w chwili, gdy prosi ojca by mu pozwolił uczestniczyć w wyprawie wojennej; „sen Gedymina,” gdy śpiącemu wśród lasu nad brzegami Wilii księżciu, ukazuje się wilk żelazny na znak potęgi miasta, które według wieszczby kapłanów w tem miejscu założył i nazwał Wilnem; „Śmierć Wandy,” której zwłoki otacza lud rozpaczający, Królową Jadwigę, i wiele innych obrazów poczerpniętych z naszych dziejów.

Lesser był w tym kierunku poprzędicielem Matejki, na nieszczęście jednak nie posiadał talentu, któryby się równał pracy i dobrym chęciom, to też obrazy jego są sztywne i nie robią tego wrażenia, jakie artysta pragnął wywołać, lecz były bardzo pożyteczne, bo wskazywały sztuce naszej kierunek. Na obecnej wystawie jakby nie było dzieł Lesera, chociaż zostawił ich wiele. Zapomniał jednak o nim za życia jeszcze nasze społeczeństwo, wobec młodego Józefa Simmlera, także ucznia szkoły monachijskiej, który zyskał sobie ogromną sławę „Śmiercią królowej Barbary”, bo rzeczywiście jest to obraz pysznie wykonany i pełen uczucia, historyczny a przedstawiający tę straszną chwilę, dla wszystkich jednakowo zrozumiałą — utraty ukochanej osoby. Simmler stosunkowo mało zostawił obrazów, gdyż zarzucono był żądaniemi portretów, które umiał urozmaicać jak każdy znakomity artysta, robiąc z nich prawdziwe obrazy bez zatracenia podobieństwa. Takim jest portret pani Reszkowej, matki znanych artystów, i Wilhelma Troszla, śpiewaka naszej opery, który wraz z Dobrskim cieszył się słuszną sympatją publiczności.

Simmler umarł zbyt młodo w pełni swego talentu, a po nim podniósł wysoko sztandar sztuki polskiej krakowianin, Jan Matejko († 1893 r.), który posiada europejską sławę i śmiało może być zaliczony do najznakomitszych malarzy XIX wieku.

Od pierwszego obrazu jaki ujrano w Warszawie, Kochanowski nad zwłokami Orszulki, kraj rozumiał, że posiada wielkiego artystę. Nieszczęśliwy ojciec, który miał tak wymowny pomnik postawić ukochanemu dziecku swemu Trenami; — Treń niezawodnie znane są naszym czytelnikom — układa w trumnie tę pociechę. tę wesołość i światło swego domu, a czyni to z taką troskliwością, widocznie drżącemi rękoma, jak gdyby to martwe ciało odczuć mogło zbyt szorstkie dotknięcie. Nie można się było omylić na znaczeniu tego obrazu — objawił nam się mistrz.

Odtąd dzieła Matejki ukazywały się często w Warszawie. Oczekiwano ich z gorączkową niecierpliwością, zbiegały się tłumy by je oglądać, a wszystkie z wyjątkiem może jednej „Dziwicy Orleańskiej” stanowiły ilustracje naszych dziejów. Sam ich spis musiałby być bardzo długi, bo artysta odtwarzał zarówno chwile radosne i pełne sławy, jak i nieszczęśliwe: Urodzenie pierwszego syna Jagiełły, Uczta Wierzyńka wydana zgromadzonemu w Krakowie monarchom, Bitwa pod Grunwaldem, Hołd pruski, gdy dumny Brandeburezyk kłęczy u stóp Zygmunta I-go na rynku krakowskim, i tyle, tyle innych. Tu załączona rycina należy do cyklu obrazów smutnych, przedstawia Jana Kazimierza, który widzi z klasztoru Kamedułów na Bielanach pod Krakowem, jak Szwedzi palą stolicę przez niego opuszczoną. W oczach nieszczęśliwego króla maluje się bezsilna rozpacz, bo też to tylko mógł i chciał artysta przedstawić. Do smutnych, wstrząsających obrazów należy także jedno z arcydzieł mistrza „Kazanie Skargi”, gdy wobec całego dworu Zygmunta III i sejmu, kapłan wzywa do poprawy i rzuca straszliwe przepowiednie. Rycina nasza przedstawia jeszcze Chmielnickiego pod Lwowem, któremu święty patron miasta, ukazuje się w obłokach, zagradzając drogę i Jana Odrowąża, kładącego kamień węgielny pod budowę Maryackiego kościoła.

Wiele z tych obrazów znajduje się na obecnej wystawie; jakby to dobrze było, żeby je nasi czytelnicy widzieli. Takiego zbioru dzieł nieżyjących malarzy, przy braku galerii publicznej, u nas zobaczyć trudno bardzo, należy więc korzystać ze sposobności i kto tylko może, zwiedzić ją uważnie

powinien, chociażby tylko dla dzieł Matejki, będących wstytkie w prywatnych rękach, a zatem niedostępnych dla publiczności.

(d. n.)

W. Marréne.

W OBŁOKACH I POD WODĄ

WYPRAWY „LATAJĄCEJ RYBY.”

opisał H. C.

(Ciąg dalszy).

Profesor po raz drugi sięgnął ręką do kieszeni i wyciągnął z niej szczyptę drobnych, zielonkawych kryształków, starannie w papier zawiniętych.

— Hm! nie znam tego — rzekł pułkownik, rozcierając ostrożnie w palcach trochę podanego sobie proszku. — Jakaż to siła ma w tem być ukryta?

— Kryształki te w pewien sposób użyte, służyć mogą do wytwarzania elektryczności, a w odmiennem zastosowaniu wydzielają gaz wybuchowy tak silny, że zastąpić może proch strzelniczy — tłumaczył profesor.

— Zatem wypada się z nimi ostrożnie obchodzić? — pytał pułkownik.

— W obecnym składzie nie przedstawiają żadnego niebezpieczeństwa — uspokajał profesor — możecie je nawet panowie bezkarnie rzucić do kominka w ogień; dopiero z domieszką pewnego rodzaju kwasu, ta mała ilość kryształków, jaką trzymacie w rękach waszych, starczyłaby na wysadzenie w powietrze gmachu, w którym się znajdujemy.

Obecni z niedowierzaniem spojrzeli na profesora.

— O prawdzie dowodzenia mego najsumienniejszą zapewnić panów mogę.

Karliński mówił to z tak głębokim przekonaniem, a w świecie naukowym słowa jego budziły takie zaufanie, że dane przez niego zapewnienie, usuwało wszelkie wątpliwości.

— O ile wnosić mogę — odezwał się pułkownik — zamierzasz, profesorze, z wynalezionego przez siebie metalu, zbudować balon i zastosować do niego jako motor nowo odkrytą siłę?

— Takbym chciał zrobić, gdybym posiadał na to odpowiednie środki. Jestem tylko jednak mołem naukowym, a tem samem człowiekiem biednym. Rachuję na to jedynie, że gdy zapoznam ludzi z moim wynalazkiem, znajdzie się jaki przedsiębiorczy kapitalista, który na wykonanie planów moich zaryzykuje swoje pieniądze.

— Ile może kosztować zbudowanie takiego napowietrznego statku? — zagadnął baronet.

— Z góry nie można kosztów stanowczo określić — odparł profesor — może około 100,000 funtów szterlingów *).

— No, to stanowi okragłą sumkę, jak twierdzą Yankee, ale z drugiej strony przysłowie mówi: z rąk szaleńców pieniądze łatwo się wyśliznie. Jeśli więc profesorze masz niezłomne przekonanie o możliwości urzeczywistnienia twoich planów, podjąłbym się może dostarczyć potrzebnych na ich wykonanie środków — oświadczył baronet.

— Możliwość wykonania tych planów jest tak niewątpliwą, jak niewątpliwem jest budowanie okrętów, pływających po oceanie. Skoro dasz pan na to fundusz potrzebny, będziesz mógł niezadługo wznieść się na moim statku na szczyt najwyższej góry Ewerest lub zapuścić się w bezdenne głębie morza.

— Zgoda! — zawołał baronet — umowa między nami zawarta. Przyjdź tu jutro po południu, profesorze, pójdzie-

my razem do mego bankiera, gdzie ci dam przekaz na sumę 100,000 fun. szter. Cóż jednak panowie na to mówicie — dodał, zwracając się do pułkownika. — Gdy cudowny statek zostanie zbudowany, czy zechcecie mnie i profesorowi towarzyszyć w wycieczce próbnej naokoło świata?

— Pójadę chętnie z wami — odpowiedział pułkownik.

— I ja z nieminiejszą radością skorzystam ze sposobności odbycia takiej podróży — dorzucił porucznik.

W ten sposób wszystko zgodnie ułożone zostało.

II.

Urzeczywistnienie marzeń uczzonego.

Nazajutrz, w chwili gdy zegar wydzwaniał dwunastą, profesor Karliński wchodził do klubu. Cekał już tam na niego sir Reginald i zamieniwszy uścisk dłoni, udał się z nim do bankiera, gdzie interes pieniężny szybko został załatwiony.

W ciągu paru następnych tygodni profesor spędzał całe dnie i część nocy nad cyframi i rysunkami. Ukończywszy mozolną pracę i mając już plany gotowe, wsiadł pewnego dnia na statek parowy, a płynąc w dół Tamizy, rozglądał się pilnie dokoła. Dojeżdżając do Blackwell, spostrzegł gmach fabryczny, na którym wypisane było dużemi literami: „Fabryka budowy okrętów do sprzedania lub wydzierżawienia.” Profesor przeczytawszy to ogłoszenie, wysiadł zaraz z parowca, zadzwonił do szczerlnie ogrodzonego dziedzińca fabrycznego, a skoro tylko odźwierny wpuścił go do środka, odbył szczegółowy przegląd całego zakładu. Przekonawszy się w ten sposób, że odpowiada on warunkom zamierzonej przez niego budowy napowietrznego statku, wziął adres właściciela fabryki, do którego, nie tracąc czasu, udał się na drugi dzień rano. Fabryka była już od dłuższego czasu nieczynną, właściciel jej przeto zgodził się chętnie na stawiane przez profesora warunki i wydzierżawił mu ją na dwa lata.

Po zawarciu umowy, najpilniejszą rzeczą było zgromadzenie, potrzebnych do budowy materiałów, a profesor tak energicznie zabrał się do tego, że po sześciu miesiącach wszystko już gotowe było do rozpoczęcia dzieła.

Teraz jednak zaczęły się najcięższe kłopoty dla Karlińskiego; największą trudność stanowiło wyszukanie dwustu zdolnych i pracowitych rzemieślników, którzyby chcieli i umieli sumiennie wykonać tak trudną pracę. Poszukiwania te zajęły dosyć czasu i zaledwie w ośm miesięcy po owej pamiętnej rozmowie, prowadzonej w klubie, kłęby czarnego dymu, wychodzące z komina fabrycznego świadczyły, że roboty na dobre zostały rozpoczęte. Roboty te jednak prowadzone były szybko. Dzień za dniem ciągnęły na dziedziniec fabryczny wozy naładowane różnemi materiałami. Stosy jakiegoś metalu, przechodząc kolejno różne procesy chemiczne, poddawane działaniu ognia, wychodziły z pod ogromnych walców parowych, w kształcie długich, gładkich arkuszy blachy. Gdzieindziej wyrabiano kółka i śruby metalowe srebrnego połysku różnych wielkości. Najciekawszy jednak widok przedstawiała kuźnia fabryczna, w której obrabiane były składowe części statku, wykuwane na olbrzymich kowadłach olbrzymiemi młotami, a po wystudzeniu, przez kilku ludzi z powodu wyjątkowej lekkości swojej, przenoszone z łatwością do oddziału maszyn i oddawane do ostatecznego wykończenia tokarzom i ślusarzom.

W taki sposób budowa postępowała szybko; nadszedł wreszcie dzień, w którym malarze i tapicerzy ukończyli wewnętrzne przyozdobienie napowietrznego statku, a profesor za zezwoleniem Elphinstona, nagrodziwszy hojnie rzemieślników, za ostatnim z nich zamknął drzwi na klucz i znalazł się sam jeden na statku.

Trudno określić uczucia, jakich musiał doznawać na widok szczęśliwie ukończonego dzieła; przypuszczać można, że profesor, jakkolwiek wyłącznie oddany nauce, nie był zupełnie wolnym od zwykłych słabostek ludzkich, i że z rodzajem dumy oglądał każdy szczegół budowy, której plan zro-

*) Około milion rubli.

dził się w jego głowie. Zadowolenie wewnętrzne odbijało się na zacnej twarzy Karlińskiego i, gdy po obejrzeniu starannem statku i przekonaniu się o jego dokładnem wykończeniu, klucze od zamkniętej fabryki oddawał odźwiernemu, wyglądał na zupełnie szczęśliwego człowieka.

(d. c. n.)

koniki szeleszczą piosnkę zwyczajną, a kwiaty w ogrodzie woń rozsyłają silniejszą niż we dnie.

Ściany białego dworku jaśnieją w ciemności, wśród zielonych festonów niby kosztowne marmury, dach rosą posrebrzony błyszczy jak tafla lustrzana, okna płoną czerwono w głębi pod dachem werendy, a na drewnianych schodkach z twarzą opartą na dłoni, w jasnej sukience jakaś postać drobna czuwa, czy marzy, zapatrzona w niebo, w te nieskoń-



OBRAZY JANA MATEJKI.

Noc sierpniowa.

Na szafirowem niebie błysnął sierp księżyca, rogaty, brylantowy. I na ciemnem sklepieniu świeci sam jeden, sam jeden. Nie, obok gwiazdka maleńka, a jasna, niby kosztowna szpilka przy królewskim dyademie.

Zresztą pusto jeszcze na nocnym błękiecie, pusto na szarej ziemi. Noc zapadła. Po skwarzym dniu i pracy ludzie spoczywają, w chatach pogasły światła, drzewa stoją ciche, niby drzemiące, bez ruchu i szmeru, na łąkach tylko

czone błękitne przestworza, gdzie tak inaczej musi być niż u nas, na niskiej, szarej ziemi.

Nagle szklane drzwi werendy otwarto i z pokoju uderzył gwar śmiechu, rozmów i wrzawy. Dziewczę w jasnej sukni w milczeniu odwróciło się ku nadchodzącym i wnet powitał ją chór wykrzykników.

— Oto jest lunatyczka, która dla księżyca wyrzeka się wieczery, towarzystwa i siedzi tutaj sama, zapatrzona w niebo.

— Mamo, mamó, Marynia jest tu, na werendzie.

— Maryniu, mama woła na herbatę.

— Maryniu, weź chusteczkę.



Elżunia lubi bardzo młode pieski swoje,
Lecz, że trudno nieść wszystkie razem na pokoje,

Codziem bierze jednego sobie dla zabawy
A resztę pozostawia wśród pisku i wrzawy.

— Czego tak składasz ręce? Co ci jest? — pytano, widząc, iż prosi o coś ze złożonemi rękoma.

— Coś wam powiem — szepnęła cichutko Marynia — coś wam powiem ciekawego, tylko się uspokóje. Nie nie zobaczymy przy takim hałasie.

— A cóż mamy zobaczyć? — pytał dowcipny Romek.

— Deszcz gwiazdzisty.

— Deszcz gwiazdzisty?

— Wyczytałam w Wieczorach Rodziny; możecie się przekonać sami, w artykule „Niebo w sierpniu.”

— Czy to prawda, panie Adamie? — zapytał gruby Franek korepetytora.

— Panna Marya ma słuszość, dziś jest 11, a spadanie gwiazd w sierpniu trwa zazwyczaj od 10 do 12-go. Piękne to zjawisko, ale za parę godzin dopiero się zacznie, może przed północą, teraz żadnych gwiazd nie widać, więc możecie spokojnie zabawić się jeszcze.

— Jakto, spadanie gwiazd — zapytał Franek. — Przecież gwiazdy to takie wielkie ziemie, jak nasza, więc jeśli na nas spadną...

— To ci wybija oko — dokończył wesoły Romek.

— Cicho, Romek, proszę pana? — pytał drżącym trochę głosem Franek.

— On się boi! — wybuchnęli śmiechem chłopcy i dziewczęta.

— Nie boję się, ale przecież...

— Uciszcie się dzieci — odezwał się p. Adam — Franek rozsądniejszy jest od was. Nie rozumie zjawiska, więc pyta o wytłumaczenie. A wy czy je rozumiecie?

— Naturalnie — odparł Romek — to nie żadne gwiazdy, tylko kamienie, krążące w przestrzeni, jak nasza ziemia, spadają lub przebiegają przez atmosferę naszą w sierpniu i listopadzie, bo w tych dwóch miesiącach droga ziemi właśnie przecina ich drogę.

— No, pamiętasz coś o tem — powiedział p. Adam — ale wątpię, czy Franek zrozumiał twoje objaśnienie.

— Nic a nic — zapewniał Franek.

— Niech nam pan powie — prosili chłopcy i panienki. — Więc to nie prawdziwe gwiazdy spadać będą?

Pan Adam się zastanowił.

— Powiedźcie mi — zapytał — co to znaczy „prawdziwe gwiazdy?”

— Prawdziwe gwiazdy? To takie ziemie, jak i nasza.

— Zapewne! — zaśmiał się Romek. — Takich jest tylko 7 oprócz naszej ziemi, więc choćby wszystkie spadły, jeszcze deszcz byłby nadzwyczajnie rzadki.

— Cicho bądź, Romek, nie kpj. Proszę pana, czy to prawda, że tylko 7 jest takich gwiazd, jak nasza ziemia?

— Zupełnie takiej, pewno niema ani jednej — odpowiedział p. Adam — ale jest 7 planet, t. j. ciał podobnych do naszej ziemi, tylko mniejszych albo większych od niej, bliżej słońca lub dalej, niż ziemia się znajdujących, ciemnych, krążących naokoło słońca i świecących światłem jego, odbitem od swej powierzchni. Takich planet koło słońca krąży siedm.

— Tylko siedm! — zawołała ze szczerym żalem Marynia — a ja myślałam, że tysiące gwiazd krąży koło słońca. Tylko siedm?

— Tylko siedm większych planet — uzupełnił pan Adam — ale kilkaset małych, takich jak księżyc np. i mniejszych, zwanych asteroidami; no, nie licząc i kilka komet.

— A czy na tych planetach żyją także ludzie? — zapytała Marynia.

— Nauka dotychczas nie umie odpowiedzieć na to ciekawe pytanie; przypuszczać tylko możemy, że jeśli niewielka ziemia jest zaludnioną, dla czegoż na planetach większych od niej i wspanialszych, lub na tych, którym słońce więcej ciepła daje, nie miało istnieć życie. Może nie takie same jak nasze, ale podobne jemu. Jeśli na tej samej ziemi pośród istot żyjących, tak ogromną spotykamy różnorodność, o ileż bardziej odrębne istoty mogłyby na tych odległych znajdować się światach.

— Ach! żeby się tam dostać można — westchnął Lutek.

— Bajże baję, będziesz w raju — zawyrokował Romek.

— Mój kochany, nikt nie wie, co człowiek jeszcze odkryć i wynaleść może — bronił się oburzony Lutek.

— Mój kochany, napij się wody. Człowiek nie wynajdzie sobie nieśmiertelności, ani nauczy się kiedy obchodzić bez powietrza.

— Nie potrzeba nieśmiertelności, żeby się dostać na księżyc. czytałem w geografii, że koleją w lat 50 mógłbym tam zajechać.

— Szczęśliwej podróży. A stamtąd wybierz się na słońce, tylko 300 kilkadziesiąt lat drogi kurjerem, naturalnie bez stacyi, bo ich niema gdzie budować.

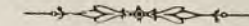
— Kolej nie jest najszybszym środkiem komunikacyi.

— Naturalnie, możesz kazać się wystrzelić w jakiej kuli armatniej, tak radzi Verne w jednej ze swoich powieści. Albo też wierzechem na promieniu światła, ten zaniesie cię w 8 minut, tylko nie wiem, jak ci posłuży taka szybka jazda i czy trochę za ciepło nie byłoby ci na słońcu.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Lutek był oburzony.

— Proszę pana — zwrócił się do p. Adama — wszakże rozum ludzki...

(d. n.)



Marya Łopuszańska.

OBROŃCY BOGÓW

Powieść na tle dawnych legend.

(Dalszy ciąg).

Ładon sam nie wiedział jak długo pozostawał tak bezwładny i bezprzytomny; w końcu jednak ból i chłód nocny obudziły go. Obejrzał się dokoła siebie; ognisko jeszcze tlało, koń jego pał się na brzegu jeziora, które tak jak pierwiej leżało ciche w zwojach mgły, to się podnoszącej, to opadającej znowu. Drzewa pochylały się nad nim nisko, maczając gałęzie w wodzie.

Lecz powoli brzegi zaczynają się zaludniać; jakieś białe postacie, niby z mgły utkane, występują z łona wód; oto cała ich gromada, wzięwszy się za ręce, zawodzi płąsy po trawie nadbrzeżnej. Ich mokre warkocze, w których wiszą zioła wodne, rozwiewają się w tańcu, a krople z nich padają niekiedy na rozpalone czoło Ładona, i jakżeż go orzeźwiają, zda się, że to deszcz wiosenny nań spada. Na pozór wodnice zdają się być piękne; białe jak łabędzie, z włosami rudemi lub złotemi, lecz oczy ich świecą zimno, martwo, jak ta toń wodna, która i pociąga do siebie i straszy swą zimną głębiną. Jedna tylko postać wśród owego koła wygląda bardziej na ludzką istotę; oczy jej błyszczą cieplejszym blaskiem, kosa jej, czarne jak skrzydło krucze, nie zmoczone wodą jeziora, lecz trudno ją zrazu odróżnić od gromady jej siostr, gdyż wzięwszy się z niemi za ręce, tańczy i śpiewa tak samo jak one.

Ładonowi zdawało się, że ją już gdzieś widział, lecz obecnie nie mógł sobie tego przypomnieć; w głowie czuł dziwny zamęt.

Wodnice tymczasem tańczyły wciąż i śpiewały, a jakże śpiew ich był słodki, niby szmer wody, płynącej po kamieniach, w piękny dzień letni, niby szum sitowia na jeziorze, kiedy wiatr pójdzie po nim i poruszy wszystkie drzewa i trawy nadbrzeżne. Ze szmeru tego wyłaniały się słowa pieśni smętnej i dzikiej:

Tańczmy nad wodą, tańczmy wesoło
Nikt nas nie widzi o tej godzinie,
Gdzieś sowa tylko huka w gęstwinie,
Płaszajmy, płasajmy w koło!

Mgły białe wstają nad cichą tonią,
W dalekiej puszczy wleczyła woła,
Czarne olszyny nisko się kłonią.
Zawiedźmy taneczne koła!

Nasza pieśń słodka niech o tej porze,
Hożych młodzieńców w głębinę woła;
Nie jeden spoczął już tam w jeziorze;
Zawiedźmy taneczne koła!

Lecz śpieszmy siostry, bo czas przychodzi,
Gdy dzwon zagłuszy pieśń tę wesołą,
Czuje jak wroga już moc nadchodzi...
Płaszajmy, płasajmy w koło!

Wkrótce jednak postacię płasających wodnic poczęły się męsząć w oczach Ładona; wreszcie zamieniły się w jeden biały тумian, który rozpląnął się w końcu i osiadł nad jeziorem, jako mgła srebrna.

Na niebie od wschodu, ukazał się skrawek bladego światła. Przed okiem Ładona wszystko zaczęło się mącić i przybierać nieokreślone jakieś kształty; drzewa zamieniły się w olbrzymie, czarne istoty, cisnące się ku niemu patrzyły z szyderstwem jak na pokonanego wroga.

VII.

W Kielcach dwór królewski był w poruszeniu.

Na same święta Wielkanocne przybył dziewierz Bolesława, Herman, margrabia Miśni, w poselstwie od cesarza, srodze zagniewanego na króla za podburzenie Słowian nadelbiańskich, którzy mu o tem sami następnie donieśli, gdy bawił na Wielkanoc w Ratysbonie.

— Chcesz wojny, będziesz ją miał — kazał cesarz powiedzieć Bolesławowi.

Wszyscy wojewodowie zostali wezwani do króla, radzono o opatrzeniu grodów nad Odrą, mnóstwo gońców wysłano w rozmaite strony, rozesłano wieści natychmiast w najdalsze krańce królestwa i wszystko dokoła było w poruszeniu. Każdy spełniał otrzymane polecenie z pospiechem, bo król nie cierpiał ospałości i sam wglądał wszędzie. Wojna za owych czasów nie była rzeczą nadzwyczajną, lecz stanem zwykłym; wiadomość o niej nie sprawiła żadnego zamieszania; wiadzano już z doświadczenia, co w takim razie czynić należy; przytem karność i porządek, wszędzie zaprowadzone przez Bolesława, sprawiły, iż nie było zwykłego w owych wiekach ociągania się w zebraniu sił zbrojnych. Na pierwszą wieść o wojnie, która piorunem przeleciała przez kraj cały, każdy był już na stanowisku. Wszędzie czuć było silną dłoń, wszędzie oko nieustrudzone czuwało, i nie było człowieka, któremu by się nie zdawało, że oko to wciąż na niego patrzy; ta myśl dodawała bodźca nawet najopieszańszemu.

Bolesław zamierzał wielką wyprawę na Niemców z pomocą Lutyków, Obodrytów i innych nadelbiańskich plemion, lecz te nie pojmując własnego interesu, zdradziły go przed cesarzem Henrykiem. i teraz trzeba było wieść wojnę nie zaczepną ale odporną. Bolesław zagniewany poprzysiągł, że „zdraycy będą krwawemi łzami opłakiwać swą zdradę.”

Dwór przez cały ten czas chodził na palcach, wiadzano bowiem, że nie dobrze jest narazić się na gniew króla, a lada co mogło go wzniecić w takiej chwili.

Ocho było dokoła, jak makiem zasiał; mówiono tylko szeptem, stąpano jak po rozżarzonych węglach.

Chociaż tydzień już upłynął, jak Ładon był nieobecny, nikt jednak nie zdawał się tego spostrzegać; wojewoda Bożydar wcale się nie niepokoił długiem oczekiwaniem powrotu syna, sądząc, że się zabawił w gródki którego ze znajomych władcyków. Zbyszek zaś i inni dziwili się wprawdzie, że Ładon nie

przybywa, lecz przyobiecawszy sobie nawzajem tajemnicę, nie nikomu nie mówili o tem.

Margraf Herman dotąd jeszcze bawił w Kielcach ze swoim dworem, licznym i dość wspaniałym i naturalnie, z samych Niemców złożonym. Zbilut i inni młodzi rycerze często miewali utarczki z tymi ostatnimi, z powodu wzgardy przez nich okazywanej dla wszystkiego, co widzieli w nienawistnej im, słowiańskiej ziemi.

Jednego dnia, wieczorem, Zbilut wsunął się do mieszkania opata z miną, która okazywała, że chce coś powiedzieć a nie wie, od czego zacząć.

Opat, który go znał dobrze, popatrzył i natychmiast domyślił się, że z czemś przychodzi, ale nie zrazu nie mówił.

Zbilut powitał opata, całując go w rękę i począł kręcić się, przestępować z nogi na nogę, nie mogąc się zdobyć na słowo.

Wreszcie ozwał się nieśmiało:

— Ojcie miły, przyszedłem..., chciałbym..

— Pewnie już co zbroił swoim zwyczajem — rzekł opat spokojnie.

— Jak wy ojcie zaraz poznacie! A toć ja jeszcze nie nie rzekłem...

— No, no, zaczynaj — przerwał opat — znam już cię dobrze; musiałeś pewnie jakieś nowe głupstwo popełnić, a teraz chciałbyś bym ci dopomógł je zagładzić.

— A tak, niby... — rzekł Zbilut zakłopotany.

— A widzisz, zgadłem — rzek opat — cóż tam znowu nowego?

— A ot, napytałem sobie biedy z tymi Niemcami. Bo też to plenię; niczem im dogodzić nie można! Chleb nasz im nie do smaku, miód nasz im nie słodki, miałem nieraz ochotę zapytać czy pięście nasze nie będą im lepiej smakować, ale mi się powstrzymał, dla miłego spokoju...

— Oczywiście — potwierdził opat — ty zawsze wielce miłowałeś spokój...

— Prawdę rzekłszy, najbardziej bałem się gniewu króla — rzekł Zbilut, nie zwróciwszy uwagi na ironiczny ton opata. — Ale ze wszystkich najbardziej mię gniewa ten gruby Kurtz, podcasy margrafa; je, hultaj za trzech, a wciąż znajduje coś do przygany, tak w jadło jak w napój. Już wreszcie nie stało nam cierpliwości, postanowiliśmy go nauczyć...

Tu Zbilut uśmiechnął się z zadowoleniem na wspomnienie psoty.

— Puściliśmy na niego Maruchę...

— Jakto, puściliście niedźwiedzia? — zawołał opat.

— A tak, przecież on nikomu nic złego nie robi, tylko ten głupi Niemiec bał się go. Otóż raz pojechaliśmy z nim na łowy do lasu, i pocichu zostawiliśmy go pod drzewem samego. aż tu z za krzaka wychodzi Marucha.. Niemiec rzucił oszczep i w nogi, a Marucha za nim, bo przywykł gonić służbę dworską... My, śmiejąc się, przypatrywaliśmy się zdaleka tej gonitwie, ale w końcu mówimy sobie, że trzeba uspokoić Niemca, że to nie dziki niedźwiedź za nim goni, tylko oswojony, cóż, kiedy niepodobna go było dopędzić... Cośmy się nakrzyczeli, cośmy się nawołali, nic nie pomogło! Niemiec przepadł gdzieś jak kamień w wodę... W ziemię się zapadł, czy go boginki porwały!...

— Mówiłem ci już nieraz, żebyś przy mnie nie wspominał o tych pogańskich zabobonach! — przerwał opat surowo.

— Nie będę ojcie — odparł Zbilut skruszony — ale naprawdę w pierwszej chwili nic innego pomyśleć nie można było. Dopiero później spostrzegliśmy, że musiał on spaść na dno głębokiego parowu, który tam w lesie się znajduje, bo nawet w jednym miejscu widać połamane krzaki i ziemię oberwaną, ale gdzie się stamtąd podział, tego zgadnąć nie umiem...

— Kiedy już wreszcie wywietrzeją wam z głowy głupstwa podobne? — zawołał opat. — I to rycerze królewscy zabawiają się takimi psotami, godnymi niedoroslých chłopu!

— Wiem już dobrze i sam, że byłem głupi, kiedy po dałem myśl do tej psoty, ale teraz powiedzcie ojcie, co czynić, żeby uniknąć gniewu naszego króla?

— Bardzo słusznie, że sobie oddajesz sprawiedliwość, tylko szkoda, że poniewczasie — rzekł opat spokojnie, patrząc na Zbilutę, który chodził, miotając się, nie mogąc ustać na miejscu i wszystkie włosy potargał sobie na głowie z wielkiego wzruszenia.

— Czy margraf już wie o zniknięciu podczaszego?

— Dzisiaj się dowiedział i podobno chce iść na skargę do króla. Tego tylko brakowało! Król teraz taki, że zda się, byle mucha przeleciała przez izbę, to się rozgniewa... Nie śmiem nawet myśleć, co to będzie, gdy się dowie o wszystkim...

— Sprawa to rzeczywiście bardzo zła, król się napewno rozgniewa, skoro się dowie, że w chwili, gdy idzie o tak ważne sprawy, wam w głowie podobne psoty — rzekł opat poważnie i surowo.

— Ale powiedzcie ojcze, co ja teraz mam czynić? — zawołał Zbilut rozpaczliwie.

— Obiecuję ci, że będę się starał wytłomaczyć, o ile w mej mocy przed królem waszą psotę, ale nie ręczę, czy mi się uda; wiesz, że nawet dla mnie trudny przystęp do króla, gdy jest zagniewany.

— Już ja wiem, ojcze, że dla was wszystko łatwe, gdybyście tylko zechcieli — rzekł Zbilut, znów całując rękę opata — wasza mądrość znajdzie zawsze sposób, bo już niema chyba na świecie mędrszego od was człowieka.

— A osobiście gdy wy głupstw jakich narobicie, bo to już nie pierwszy raz, przypomnij sobie tylko, ochraniam was od gniewu królewskiego, oby przynajmniej był ostatnim.

— O, zaręczam was, ojcze, że to ostatni! — zawołał Zbilut.

Wkrótce po tej rozmowie z opatem, Zbilut został wezwany do wojewody Sieciecha. Na wstępie zaraz wojewoda zapytał go surowo:

— Coście zrobili z Kurtzem, podczaszym margrafa? Powiadają, że wczoraj po południu poszedł z wami na łowy do lasu i nie wrócił dotąd. Margraf wciąż się o niego dopytuje i z pewnością ta sprawa dojdzie do króla, jeśli podczaszy się nie znajdzie. Co to wszystko znaczy? Czy myślicie, że król daruje podobną swawolę? I teraz jeszcze, kiedy bynajmniej nie jest skłonny do żartów!

— Wojewodo — rzekł Zbilut — bieda się stała, ot, sam nie wiem jakim sposobem; zmiłujcie się, zróbcie tak, by król o niczem nie wiedział!

— Czyż nie mówiłem, że tu jest jakaś swawola! — zawołał wojewoda. — Coście zrobili z Kurtzem?

Tu Zbilut jął opowiadać wszystko, jak było, mówiąc, że Niemiec musiał to uczynić naumyślnie, aby im na złość zrobić. Wojewoda uśmiechnął się mimowoli na te słowa, ale wnet przybrał ton surowy.

— Wasza psota jest nie do darowania! — Szczęście wasze, że król jeszcze o niczem nie wie, inaczej na zawsze odbiegłaby was chęć do żartów! Chciałbym nawet by się dowiedział, bo przechodzi to już wszelką miarę!

— Nie, wojewodo — zawołał Zbilut — ja wiem, wyście dobrzy, spełnicie moją prośbę. Jeśli zechcecie, potraficie tak obrócić tę sprawę, że król się o niczem nie dowie; potraficie także uspokoić margrafa, a może tymczasem ów utra-

piony Niemiec się znajdzie. Tylko nie opuszczajcie nas, bo bez was przepadniemy! Nie wiem co bym oddał teraz za to, żeby podczaszy był tutaj! Wierzajcie mi, że gdyby można było gdzie dostać jakiego fałszywego Kurtza, z takim samym nosem czerwonym, z takim samym dużym brzuchem i grubemi łydkami, zaraz bym go wam dostawił, abyście mieli czem uspokoić margrafa, ale cóż, jestem pewien, że gdybym zjechał kraj cały, od Poznania do Krakowa, jeszcze bym drugiego, żywego Kurtza nie znalazł a na wypchanym zaraz by się poznali! Cóż więc mam robić?

No, no — rzekł wojewoda — napół śmiejąc się, napół grożąc, tym razem was wyratuję ale pamiętajcie by to było poraż ostatni. Tu nie idzie o jednego grubego Niemca, jest ich i tak aż nadto na świecie — ale o to, że zniknięcie podczaszego może obrazić margrafa, który snadno mógłby to poczytać za umyślną zniewagę dla siebie. Trzeba więc starać się wybić mu z głowy myśl podobną, nad czem będę pracował, a wy starajcie się odszukać Kurtza.

Po tej rozmowie wojewoda rzeczywiście udał się do margrafa Hermana, bo dowiedział się, że ten był nadzwyczaj oburzony zniknięciem swojego podczaszego, zwłaszcza, że kilku złośliwych i nieprzyjaznych Zbilutowi napomknęło mu o psotach jakie ten wyrządzał Kurtzowi.

Wojewoda zastał margrafa nader wzburzonym; siedział przy dzbaniu piwa, czerwony i zagniewany — gdy tylko ujrzał wchodzącego Sieciecha, zawołał zdaleka.

(d. c. n.)

Niebo w sierpniu.

Wschód słońca w sierpniu staje się coraz późniejszy, a zachód wcześniejszy. W dzień 1 sierpnia słońce wschodziło o godz. 4 m. 21, zachodziło o 7-ej m. 50, w dniu 31 września o 50 minut później, to jest o 5 m. 11 rano, a zajdzie o 6 m. 49 wieczorem, tak, że dzień będzie liczył w końcu miesiąca tylko 13 godzin 38 minut.

Wysokość słońca nad poziomem o południu maleje także z 56° do 47°.

Noce są coraz dłuższe, nów przypada 17-go, a druga pełnia księżyca w tym miesiącu 31-go.

Z planet widzialne są wieczorem: Wenus, Mars, Jowisz i Saturn.

Miedzy 10 a 12 sierpnia widzialne będą roje tak zwanych gwiazd spadających. Astronomowie zowią te roje Perseidami, ponieważ kierunki pozornych dróg tych meteorów, przedłużone wstecz, schodzą się w jednym punkcie — w gwiazdozbiornie Perseusza.

Lud nasz nazywa te gwiazdy łzami św. Wawrzyńca, bo dzień tego św. męczennika przypada 10 sierpnia. Roje, sierpniowy i listopadowy należą do najświetniejszych, wyglądają czasami, jak deszcz gwiazdzisty.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Królewna Prawda, bajka żmudzka, wiersz przez Ludwikę Życką. — Dawni nasi malarze p. W. Marréne. (z ryc.) — W obłokach i pod wodą, wyprawy „Latającej ryby“, opisał H. C. — Noc sierpniowa. — Elżunia, rycina. — Obrońcy bogów, przez M. Łopuszańską. — Niebo w sierpniu. — **Dodatek:** Wisienki, wiersz przez Z. M. (z ryc.) — Bajka dla panienek szyjących na konkurs. — Panna Musia. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — **Dodatek książkowy:** Juraś i Anulka, czyli historia rozbitków. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D.

WIECZORY RODZINNE

WISIENKI.

Co tu malin na krzaczku!
Co wisienek na drzewie!
Które zrywać najpierwej
Helcia sama aż nie wie...

Ona woli malinki:
Z mlekiem, z cukrem je zjada
Lecz znów, tatuś dziewczynki
Kwaśne wiśnie przekłada...

I już Helcia się zrywa,
Długi namysł skończony;
Tatuś zawsze od żniwa
Taki wraca zmęczony,

Więc go zaraz córeczka
Wisienkami przywita —
„Kto mi narwał wisienek?”
Może tatuś zapyta.

Wtedy Helcia na szyję
Rączki rzuci mu obie:
„Twoja tatka pieczętka
Tak myślała o tobie.”

Z. M.



BAJKA

DLA DZIEWCZYNEK SZYJĄCYCH NA KONKURS.

Była raz, nie królowa wprawdzie ani wróżka, ale mała istotka, która żyła w zakętym pałacu, zwanym szufladą. Nie zbywało jej tam na niczem; sukienkę miała zawsze lśniąca jak srebro, albo jak nów księżycy, a choć nigdy nie jadła ani nie piła, głód nie dokuczał jej wcale, bo już z natury była bardzo wstrzemięźliwa. Cały światek koło niej żyjący miał to samo usposobienie — ale za to używano tam pod dostatkiem powietrza, oraz miłego szarego mroku, który dniem i nocą napełniał każdy kącik pałacu; a cóż to dopiero była za radość, jeśli przez jaką szczelinę w sklepieniu, albo przez dziurkę, od potężnego klucza, który zamykał ten świat dziwów, wdarł się promień dalekiego słońca i oświecił tajemnice pałacu.

Ku światłu podnosił się wtedy rój małych istotek, pogardliwie przez olbrzymów owej krainy pyłem nazwanych, tańczyły one szalenie słupem i wirem w promieniu, szczęśliwsze teraz od swych wspaniałych, ale ciężkich towarzyszy, którzy się podnieść nie mogli. Wszystko co żyło, starało się skąpać w tem świetle, pokazywano sobie wzajem swoje sukienki, oglądano się, chwalono, podziwiano...

A nawet gdy promień już zniknął, co to jeszcze

było rozmów i powieści o tym gościu z nieba, jak długo wspomniano jego odwiedziny w miłych pogawędkach o zmroku!

Jednak, mimo tylu rozrywek i przyjemności, istotka o której najpierw zaczęliśmy mówić, nie była szczęśliwą w zakętym pałacu, a wypływało to z tego, że nie miała tam nikogo ze swej rodziny, nikt nie chciał z nią być w przyjaźni, a nawet nikt się o nią nie troszczył. Leżała sobie smutna i cicha, i nawet nie mieszała się nigdy do żadnej rozmowy. — Dawniej próbowała ona poznać się ze swymi sąsiadami, ale się to nie udało. Na prawo od niej było wielkie mieszkanie kupców; żyli sobie w woreczku z zielonego jedwabiu, a że w nim zawsze wesoło błyszczało i brzęczało, do nich najpierw zwróciła się nasza znajoma, i zapukawszy poufale, spytała czy zechcą przyjąć ją do zabawy. — Ale panowie kupcy odrzekli:

— Nas tu i tak dosyć, na co nam wpuszczać kogo obcego? a zresztą cóżes ty warta? Tyś proste żelazo, gdy my cennem jesteśmy złotem!

Ta odpowiedź bardzo ją obraziła, bo przecież, jak wam mówiłam, sukienka jej błyszczała niby nów księży-

ca, i zamiast się wstydić swego pochodzenia, dumna była z dziadka swego, żelaza, i mamy stali.

Nie popatrzyła też już nawet na niegrzeczne dukaty, a obróciła się na lewo, gdzie żyła w zgodzie i spokoju para małżonków, państwo Pierścionkowie, i prosiła, aby ją zaszczylicili przypuszczeniem do znajomości.

— Ha, dobrze — odrzekli — ale czy umiesz tak jak my, zwinąć się w kółko i zaświecić oczkiem? Czy wiesz co znaczy kółko, które niema początku ani końca?”

Przestraszona tą mądrością umilkła, i już nigdy nie śmiała ode zwać się do uezonych, bo choćby nie wiem jak chciała, nie mogła zwinąć się w kółko. Pozostały jej już z sąsiadów tylko szeregi żołnierzy szpilek, które poza nią tkwiły w białym papierku; o tych już nie wątpiła, że ją przyjmą skapliwie i jeszcze dumne będą z jej znajomości, bo sama uważała się za coś lepszego. Jakież więc było jej zdumienie, gdy na jej grzeczne, choć cokolwiek wyniosłe powitanie, rozległ się rubaszny śmiech po szeregach.

„Ha, ha, ha! patrzcie na to stworzonko! Bez głowy a śmie się wpraszać między szpilki — ciekawam, czemu się ta śliska słoma utrzymała w szeregu, albo to ma się oprzeć na czym?” i obracały się do siebie okrągłemi głowami i szydziły.

Nasza znajoma nie mogła się wstrzymać od zawołania: „Lepiej nie mieć żadnej głowy, jak płaską! a już bez ucha być, to wstyd doprawdy!”

„Ha, ha, ha! — zachuczały szpilki — gniewa się uszko bez głowy!”

I na tem skończyły się stosunki z sąsiadami, bo nasza przyjaciółka, tak już była zgryziona i upokorzona, że nie miała odwagi zaczepiać ostatniego, leżącego w odosobnieniu pana Gwoźdźcia; zresztą musiał on być samolubem, bo szorstki i ponury, wyglądał całkiem, jakby swym zakrzywionym końcem chciał drapać wszystkich naokoło. Smutne myśli zaczęły ją trapić, gdy duma-

ła w milczeniu; zdawało się jej, że chyba doprawdy na nią się nie zda na świecie, kiedy nie umie ani brzęczeć jak dukaty, ani zwinąć się w kółko jak pierścionki, ani nawet utrzymać się na papierze w szeregu jak szpilki — wszystko przestało ją cieszyć, i już nawet nie błyskała sukienką, gdy wkraść się promień słońca do jej pałacu. Jak długo tak leżała pogrążona w żalobie, nie wiedziała sama, aż raz jednego przeraził ją niesłychany jakiś szum, tupot, turkot i łoskot — nawet kupcy przerwali swoje obrady i w niemem osłupieniu patrzyli na widmo jakieś czarne, które z końca w koniec przebiegało całe państwo szuflady, tratując wszystko po drodze. Tuż za nim toczyło się z hałasem coś dziwnego, co wreszcie zatrzymało się obok naszej znajomej, i odezwało grzecznym głosem:

„Przepraszam, mozem potrącić lub przestraszyć, ale gdy się kto rozpędzi, to mi i stanąć trudno”.

„Co to było? spytała słabym głosem nasza przyjaciółka, na wpół jeszcze mdlejąc z przerażenia.

— To mysz przebiegła. Ja tu bywalec i krajowiec oddawna, tom już nie jedną widział, a ta mi wielką przysługę zrobiła; bo trzeba pani wiedzieć, że już taka natura moja, sam się ruszyć nie mogę, ale niech mi co z miejsca pomoże, to potem już idzie jak po maśle. Otóż, oddawna pragnąłem się przenieść w sąsiedztwo pani, bo mi się podobałaś, ale dopiero dziś ta mysz biegnąc potrąciła mnie i dopomogła moim chęciom”.

Nasza przyjaciółka przyszła już całkiem do siebie i ciekawie przypatrywała się swemu gadatliwemu sąsiadowi, który wyglądał jak rycerz w hełmie ogromnym, albo lepiej jeszcze, jak hełm rycerza.

„Z kimże mam honor?”

„Pan Naparstek”.

„Panna Igła — bardzo mi przyjemnie”.

„O pani dobrodziejko! cała przyjemność po mojej stronie.

(d. n.)



Panna Musia.

(Dokończenie).

Przy obiedzie mała Musia, siostrzyczka ich zauważyła, że Tadzio jakiś nie swój, ale on na jej uwagi odpowiedział nie bardzo grzecznie, żeby siebie samej pilnowała. Musieńka się obraziła i tak obiad przeszedł nie wesoło.

— Otóż ktoś dzwoni — rzekł o czwartej pan Henryk — pewno wasi koledzy idą, zbierajcie się chłopcy,

a niech panna Musia prędko koło podwieczorku dla gości się zakrzętnie, żebyśmy się nie spóźnili.

— Chciałbym — rzekł, zwracając się do mamy — trafić na tę chwilę, kiedy w menażeryi roznoszą jedzenie po klatkach, to się zwierzęta najgroźniej wtedy przedstawiają, w chwilach bezczynności zanadto znać na nich zgnuśnienie, wywołane długim więzieniem i ostrem obchodzeniem się z nimi. Wyglądają trwożliwie i ospale.

— Już ja tam wcale nie jestem ciekawa tych potworów — rzekła Musia, pomagając mamie w ustawianiu filiżanek i bułeczek — jakby który ryknął, tobym się bała; wolę pójść z mamą do Łazienek.

— I ja, jeżeli mama pozwoli, pójdę także do Łazienek z wami — rzekł Boguś po przywitaniu z kolegami.

— A to dla czego? — zawołali wszyscy — czy i ty jak panna Musia boisz się przez żelazną kratę ryczącego lwa zobaczyć.

Boguś zaprzeczył temu skwapliwie, ale tak nie miał dziś ochoty, wołał zostać z paniami.

— Kiedy indziej menażeryę zobaczyć może, bo przecież jeszcze parę tygodni zostanie w Warszawie.

Dziwiły się temu postanowieniu mama i Musieńka, dziwił się pan Henryk i koledzy, ale że czas ucieka, więc po wypiciu czekolady zabierali się do odejścia.

— Bogusiu, czy ci nie żal, że z nami nie idziesz? — rzekł do niego półgłosem.

— Trochę mi żal, ale bardziej jeszcze jestem kontent, i już wolę, że się tak stało — rzekł Boguś.

— Bogusiu — rzekł na to Tadzio — a ja ci powiem, nie żałuj nic, tyś bardzo szczęśliwy, mnie tak jest smutno, że byłem taki skąpy; ciągle mam na pamięci tego biednego chłopca i jego chorą matkę, której tylko jedno mógł zanieść lekarstwo, bo na drugie już nie miał pieniędzy dla tego, że mi się tak bardzo chciało widzieć menażeryę.

I westchnął pocziwy, choć po niewczasie żałujący Tadzio, że nie usłuchał głosu serca a samolubstwu pozwolił zwyciężyć; ale że całe towarzystwo było już na schodach, wybiegł za wszystkimi, oglądając się jeszcze we drzwiach na Bogusia.

— Oóż to znaczy, powiedz mi mój synku — rzekła pani R., gdy już sama tylko z Musią i Bogusiem została — dla czego wyłączyłeś się dziś i nie chcesz dzielić zabawy przyjaciół swoich; ty co zwykle tak lubisz ich towarzystwo, czy się na nich o co obraziłeś? czy jaką przykrość ci wyrządzili?

— Nie mam moją, nie gniewam się na nich, tylko nie mogłem im towarzyszyć, bo nie miałem pieniędzy na kupienie biletu.

Zadziwiła się pani R., bo wiedziała dobrze, że każdy z jej synków mógł, a nawet powinien przy końcu tygodnia mieć małą zaoszczędzoną sumkę, umyślnie przyzwyczajając ich do tego; wiedziała też, że taką sumkę miał Boguś już gotową rano, kiedy do szkoły wychodził, i już chciała się go zapytać, gdzie ją podział, na co wydał, gdy na schodach usłyszano głośną rozmowę i takie stapanie hałaśliwe, jakby po trzy schody naraz przeskakiwano. Dzwonek rozległ się donośnie.

— Dla Boga, co się stało — rzekła służąca, która pospieszyła otworzyć, a na widok cisnących się razem: Stasia, Janka, Felisia i Tadzia, odskoczyła ode drzwi udając przestrah.

— Co to! panicez jakby się w wojnę bawili i szturmem mieszkanie nasze zdobywać chcieli.

— Już powróciliście! — zawołała Musia — tak prędko z tej Afryki, ja myślałam, że lwy i tygrysy gdzieś są daleko za morzem; i cóż, czy silnie ryczały, czy bardzo otwierały paszcze i zjeść was chciały, żeście tak prędko uciekli?

Mama była także zdziwiona a nawet zaniepokojona, lecz uśmiechnięta twarz pana Henryka, upewniła ją, że

nie przykrego nie było przyczyną tak spieszego powrotu.

Gdy ogólny gwar trochę się uspokoił, pan Henryk opowiedział, że nim wyszli na ulicę, w sieni domu jeszcze, koledzy zdziwieni nieobecnością Bogusia i wyraźnym smutkiem Tadzia, zaczęli go badać i dowiedzieli się od niego o przygodzie z lekarstwem, o dobrym uczynku Bogusia i wymówkach jakie sobie czynił Tadzio. Spostrzegli, że tak go to trapiło, że chociażby i poszedł z nimi dalej, nie będzie się dnia tego swobodnie i wesoło bawił, za te pieniądze, które mu na sumieniu ciążyły.

— Więc nie idziemy dziś wcale — zawołał wtedy Staś, najszybszy do decyzji — poprosimy waszą mamę, abyśmy razem wszyscy mogli pójść do Łazienek.

— Dobrze, dobrze, wracajmy na górę, ale pozwólcie panowie koledzy, że i ja podam mój plan — rzekł trochę uroczyście Feliś, który przypatrywał się ciągle Tadziovi — otóż złożmy wszyscy te nasze pieniądze na dzisiejszą zabawę przeznaczone, w ręce pana Henryka. Może nam się uda odnaleźć tego samego chłopca co ma chorą matkę, a nie chciałby żebrać, bo zdaje się, że on mieszka gdzieś przy tej ulicy, którą do szkoły chodzimy, może go kiedy spotkamy.

— A jak go już nie zobaczymy? — rzekł Tadzio.

— To użyjemy tych pieniędzy dla jakiej innej biednej rodziny — rzekła mama — niestety dużo jest takich którzy potrzebują wsparcia. Ale teraz proszę panów z sobą do Łazienek; cieszę się, że tak miłe i liczne towarzystwo dziś mieć będziemy.

Doskonale się dnia tego na spacerze bawiono. Pani R. wynajęła dzieciom dużą łódkę, pływano więc po stawie; z powrotem około budki z piernikami, urządzono mały wypoczynek.

Powracając, przechodzili niedaleko od miejsca, gdzie była menażerya; na wielkiej tablicy wymalowany był słon olbrzymi, na grzbiecie jego na czerwonym czapraku siedział Murzyn i dwie małpeczki.

— Mamo, jakie wspaniałe zwierzęta są te słonie — rzekła Musia, z ciekawością przypatrując się wielkiej tablicy.

— I nie bałabyś się zobaczyć takiego słonia żywego? — spytał Boguś.

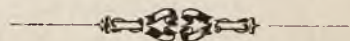
Musia, której się bardzo podobała przechadzka w towarzystwie braciszków i ich grzecznych kolegów, spojrzała prosząco na swoją mamę.

— Wśród tylu walecznych obrońców, to pewnie i Musia odważyłaby się — rzekła mama, zrozumiawszy jej nieme błaganie — a więc w przyszłą sobotę wszyscy razem pójdziemy oglądać te zwierzęta.

— A przedtem ja panience Musi opowiem, do jakiego rzędu i rodziny, każde z tych zwierząt należy i potrochu opiszę naturę każdego — dodał pan Henryk.

— Wiwat, wiwat — zawołali Staś, Janek i Feliś, podrzucając w górę czapeczki, a nie śmiejąc wymienić starszych, dodali wesoło: niech żyje odważna p. Musia!

A. Z.



ZAGADKA:

ułożył Aleksandr W.

Wielka jest siła we mnie, i na ziemi całej,
Istność moja jest wagi doprawdy niemałej.
Bezemnie niema życia ni człowiek ni zwierzę,
I roślina mię pragnie także w równej mierze.

Lecz choć darem ja nieba, jednak nieraz bywam
Nieszczęściem, skoro masą nadmierną przybywam,
Bo wtenczas śmierć przynoszę i zniszczenie srogie,
Co dziejowe wypadki potwierdzają mnogie.

PROZA DO PRZEROBIEŃ NA WIERŚZE.

Mile mi śnieżne zamiecie, burze, błyskawice i grom ojczysty miły, bo pięknie na świecie i świat szeroki, ale nad moją ziemię niema ziemi.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

p. Słonia z Nubii.

Z następujących sylab ułożyć 15 wyrazów, których początkowe litery złożyć mają tytuł drukowanego w Wieczorach obrazka:
A—a—ak—bo—dye—cki—e—cap—el—hia—in—i—ka—la—le
—ma—ma—mo—mi—na—nord—nu—o—o—o—ryk—rea—rzeł
—pal—sło—szyng—wa—ta—ton—e—za—za.—Znaczenie wyrazów: 1) Miasto w Finlandyi. 2) Rzeka w Syberyi. 3) Dopływ Wołgi. 4) Król Gotów. 5) Postać biblijna. 6) Dopływ rz. Missisipi. 7) Poeta polski. 8) Miasto w Ameryce. 9) Półwysep grecki. 10) Kosztowny kamień. 11) Rzeka w Anglii. 12) Ptak drapieżny. 13) Góry na samej północy Europy. 14) Kraje w Azji. 15) Imię króla włoskiego.

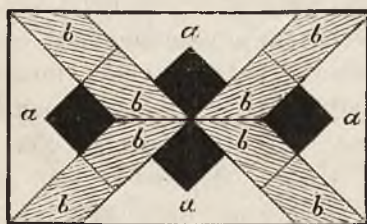
ROZWIĄZANIA DO N-ru 32.

Szarady: 0 — ko — nie.

Kwadratu literowego:

S u S e l
C y t r a
S t y k a
B e k a s
S k a l a

Łamigłówki geometryczne:



Skrzynka do listów.

Ortowi karpackiemu. Obserwowanie księżyca, który jako sa-
telita ziemi, ściśle z nią jest połączony i tworzy najbliższe, zatem
i najwyraźniejsze dla nas ciało niebieskie, dało niezawodnie począ-
tek nauce astronomii. Przypatrując się księżycowi, zauważyli
ludzie od wielu już tysięcy lat, na srebrzystym tle jego ciemne pla-
my, które rzeczywiście dziwnie przypominają w grubych zarysach
twarz ludzką. Dla tego też u wszystkich narodów i we wszystkich
stuleciach uwydatniano te niewyraźne linie ilekroć zamierzano
w rzeźbie czy malarstwie przedstawić księżyc. Podobieństwo to
jednak jest całkiem wypadkowe i powstało z geograficznej budowy
naszego satelity, którego powierzchnia najeżona jest olbrzymimi
górami, rzucającymi w świetle słonecznym głębokie cienie na doli-
ny. Znika też ono zupełnie przy badaniach teleskopowych. Że
zaś księżyc podczas swego obrotu miesięcznego, trwającego 27 dni
7 godzin 43 minut i 11 sekund, w którym zakreśla elipsę koło
ziemi, równocześnie *raz tylko obraca się około swej osi*, więc zwró-
cony jest zawsze do nas *tą jedną tylko stroną*, tak, że druga jego
półkula pozostaje nam nieznana, co nam tłumaczy, że tylko zawsze
te same plamy dostrzedz na nim możemy. Zwracamy jeszcze uwa-
gę Orła, że w skutek właśnie tak powolnego obrotu księżyca oko-
ło siebie samego, jeden dzień jego równa się prawie 14 dniom na-
szym.

Pani X. Pospieszamy załączyć pominiętą przez zapomnienie w przeszłym numerze odpowiedź, że najwięcej dotychczas używaną jest dla początkujących dzieci „Mała gramatyka” Jeskego. Cena bez przesyłki kop. 50.

Tadziowi W. Wprawdzie u nas jako i w całej Europie coraz dotkliwiej daje się uczuwać brak lasów, są jednak jeszcze na świecie olbrzymie i niezbadane dotąd obszary zacienione odwiecznymi drzewami. Ameryka posiada ich najwięcej. Mianowicie w prowincjach Kwebek i Ontario, oraz w dolinie Amazonki, ciągną się lasy dziewicze zwane, przez których lianami splecione gęstwiny, siekierą torować sobie trzeba drogę, to też głębie ich są dotychczas zupełnie nieznanne. Największy jednak podobno obszar zajmuje puszcza leśna we wnętrzu Afryki; długość jej bowiem wynosi aż 4,800 kilometrów, a szerokość, choć dotychczas nie przemierzona, ma być równie znaczna.

List Szarotki wraz z zadaniem konkursowem odebraliśmy i miło nam poznać naszą młodą czytelniczkę, która tak widocznego dołożyła starania, aby pismo jej było równe i czyste. Liściki takie zawsze z prawdziwą przyjemnością odczytywać będziemy.

Liczne łamigłówki i szarady układu **Stokrotki z Sobolówki** odebraliśmy i następnie przejrzymy. Bajeczki wierszem pisane nie są łatwą rzeczą, samo już bowiem wierszowanie obok wrodzonego talentu, wymaga dużo nauki i pracy. Mimo tego, choćby utwory Stokrotki nie nadawały się zaraz do druku, miło nam będzie z nimi się zapoznać.

Stoniowi z Nubii Jaskółka jeszcze odpowiedzi dać nie może, gdyż dotychczas niema jej w Warszawie; niewątpliwie jednak w krótkim czasie powróci i zadowolni miłych swych korespondentów. I my radzi jesteśmy, że pogoda ustaliła się nieco, pozwalając rolnikom sprzęt zboża, a młodzieży na wakacjach, więcej swobody i ruchu.

Odczytując list **Puszczyka z Pilawy** pragnęlibyśmy, aby wycieczki jego poza mury Warszawy, jaknajczęściej się powtarzały, bo kto umie tak ocenić i cieszyć się wdziękami pięknego naszego kraju, dla kogo przyroda jest niejako księgą, z której uczy się czytać, czerpiąc pokarm dla swego umysłu, ten przed wszystkimi zasługuje na to, by miał ją zawsze przed oczami. Żądanie konkursowe odebraliśmy; szarady i łamigłówki przejrzymy

Zamigłówki własnego układu przysłali: Orzeł karpacki, Smok, Władzio, Giermek, Tadzio W., Anulka i Marynia; dobre zaś rozwiązania: Prymulka, Skowronek, Jagódka leśna, Orzeł karpacki i Czarny rycerz.